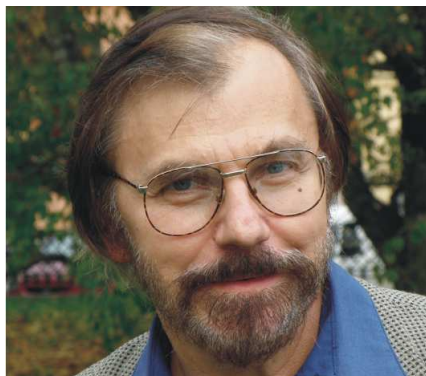


Listy do Pani A. (65)



Perspektywy i nadzieje

Droga Pani!

Warszawska Jesień Poezji, jak to jesień, wskazuje na koniec roku. Po niej Listopad Poetycki w Poznaniu, potem już święta i następny rok. I nie możemy się upływowi czasu przeciwstawić. Nie mówię Pani nic odkrywczego, wręcz przeciwnie. Ale w miarę tego upływu przekonuję się coraz bardziej o własnej bezsilności wobec niego. Niby wszystko jest takie samo, jak przed laty, a jednak inne...

Wspomniałem Pani o Warszawskiej Jesieni Poezji. W ramach tego festiwalu prowadziłem w Muzeum Broniewskiego promocję książki-albumu Krysia Koneckiej „Szklana kula”. Już chyba pisałem, że znalazły się tam sonety Krysia inspirowane konkretnymi obrazami Wojciecha Weissa oraz jego żony Aneri. Całość pięknie wydana.

Choć muzeum jest blisko mojego domu, to przyznam się, że wcześniej nigdy tam nie byłem, chociaż wielokrotnie przechodziłem obok willi, w której mieszkał poeta. Przyszło nawet sporo słuchaczy, Krysia czytała wiersze, a na ekranie ukazywały się obrazy. Mówiłem, jak zwykle z pewną tremą, o tej książce, którą zresztą dobrze znam, bo pisałem do niej posłowie.

Następnego dnia miałem spotkanie w liceum im. Dąbrowskiego, a potem poszedłem na inaugurację. I właściwie na tym zakończyła się moja Jesienna działalność. Zaraz potem dostałem takiego bólu gardła, jakby ktoś wiercił mi dziurę nożem. Leżałem kilka dni, potem się zwlokłem z łóżka, żeby pójść na uroczystość poświęconą setnemu numerowi „Poezji Dzisiaj”, z którą współpracuję od jej początków. Kiedy dziękowałem Aleksandrowi Nawrockiemu za wręczenie mi jubileuszowego numeru, powiedziałem: „Cieszę się, że »Poezja Dzisiaj« nie jest rocznikiem, bo w takim razie nie mógłbym brać udziału w tej uroczystości”.

Tuż po Wszystkich Świętych pojechałem do Poznania na Międzynarodowy Listopad Poetycki, już nie w charakterze jednego z tych „Wszystkich”, bo czułem się już zbyt dobrze, nawet jak na świętego. Pociąg przyjechał z dwudziestominutowym opóźnieniem. Potem ruszył, zatrzymał się na Dworcu Zachodnim. Ogłoszono, że będzie ponad godzinny postój, ponieważ zepsuł się elektrowóz. Posiedziałem cierpliwie, do Poznania dojechałem zamiast pięć po drugiej, to przed czwartą.

Muszę powiedzieć, że tegoroczna impreza była znakomita. Dużo pracy w organizację włożyły Danuta Bartosz, Magda Pócgaj, Zdzisław Kaczmarek, niezwykle operatywna Kalina Izabela Ziola. Nad

wszystkim czuwał Paweł Kuszczynski, nieoceniony prezes Oddziału ZLP w Poznaniu. Inauguracja przebiegła sprawnie, wręczono nagrody Listopada – główną dostał Jerzy Grubiński. Potem pojechaliliśmy do Szreniawy, do Muzeum Rolnictwa. Byłem już tam kiedyś. Do dziś pamiętam, (jak, oczywiście, wszyscy poeci), aparaturę do produkcji spirytusu. Można było wtedy degustować ten bliski twórcom napój, poeci ochoczo podawali kieliszki pod kranik, którym ściekał alkohol. Pomagał w nalewaniu nieodżałowany Zbyszek Jerzyna. W tym czasie nie mógł pić, więc chciał choć poczuć zapach i potrzymać, niestety cudze, kieliszki. W tym roku nie było aparatury. Grzecznie zwiadzaliśmy wystawy, a podczas kolacji było za to świetne piwo miodowe w dużych ilościach.

W drugim dniu wszyscy się rozjechali na spotkanie, a wieczorem w Bibliotece Raczyńskich odbył się panel poświęcony poecie i aktorowi Edmundowi Pietrykowi. Choć to było ciekawe musiało walczyć z sennością. Nieraz śmiałem się z tych, którzy na różnych imprezach zasypiali, a teraz... Czyżby to znova mój czas przypominał o sobie? A Pani taka młoda! Miałem wrażenie, że była Pani na Listopadzie, ale z pewnością nie u Raczyńskich, bo wtedy moja senność nie wchodziłaby w grę.

Imprezy literackie mają to do siebie, że dają namiastkę normalności. Nie bez powodu Andrzej Grabowski mówi o odkrywaniu „piękniejszej strony świata”. W każdym razie przenoszą nas jakby do innej, właśnie lepszej rzeczywistości. Zapominamy o idiotycznych sporach o szkołę, które to spory wiodą na ogół nieuki, politykerzy i żałośni ideolodzy. Im nie chodzi o dobro kogokolwiek, tylko o przeprowadzenie swoich chorych pomysłów, a najbardziej o kasę. Wrzeszczą o referendum, czy dzieci mają iść do szkoły w wieku sześciu lat, czy nie. A tymczasem nic nie jest do tego przystosowane. To trochę tak, jakby najpierw najeść się środków przeciwczerwczających, a dopiero potem pomyśleć o kubie. Kraj odwrotności. Nie odnosi Pani podobnego wrażenia?

Tymczasem okazuje się, że tak zwane „Pudełko”, czyli mokotowska reduta Pułku Baszta, w którym mieściło się moje Liceum św. Augustyna jest rozbiierane. Zwyciężyła komercja, plac sprzedano, jak sprzedaje się tutaj wszystko. Po pierwsze, to jedna z nielicznych pamiątek powstańców na Mokotowie, po drugie była tam szkoła o bardzo wysokim poziomie. Przetrwiała czasy komunizmu, nie przetrwała dzisiejszej mody na „neokatolicyzm”, „demokrację”, która w dzisiejszym wydaniu coraz bardziej wydaje się zbrodnico-dywersja. Zupełnie jakby komuś zależało na tym, aby zdradziecko niszczyć szkolnictwo, kulturę, sztukę, literaturę, pamiątki. Ciekawe, co się stało z pracami Marii Hiszpańskiej-Newmann zdołającymi kaplicę, która była na parterze budynku. Powiem Pani, że niekiedy czuję się tak, jakbym żył w czasach okupacji i świadomego ogłupiania społeczeństwa. Lepiej by było, gdybyśmy znova znaleźli się w jakiejś „nievoli”, bo najprędzej wykończymy się sami. Wygląda na to, że jesteśmy autodestrukcyjnym narodem idiotów i samobójców. Jak Pani myśli? Mam rację?

Kto niezależnie, kieruje się rozsądkiem, nie może liczyć na ogólne wsparcie. Najbardziej reprezentatywna jest sprawa ks. Lemańskiego – z tą różnicą, że on nie może korzystać z pełnej wolności, bo działa w warunkach mafijno-totalitarnych. Ale i to się zmieni. Tylko czy ludzie mądrzy będą kiedyś w większości także we władzach? Przypuszczam, że wątpię. Kiedy zmarł Tadeusz Mazowiecki, najgłośniej wychwalali go właśnie ci, którzy wpięrowali się z niego wyśmiewali, lekceważyli, deprecjonowali, wręcz mieszały z błotem. A teraz padają słowa: był

naszym nauczycielem, my wszyscy z niego... Wszyscy z niego...

I znova wpadam w emocje prowadzące do zawału. Jednak świetnym antidotum był Festiwal Poezji Słowiańskiej organizowany po raz szósty przez Aleksandra Nawrockiego i „Poezję Dzisiaj”. Zaczęło się w Klubie Księgarza. W następnym dniu miejscem oficjalnej inauguracji imprezy było Muzeum Literatury. Potem pojechaliliśmy do Kielc i Polańca.

Muszę Pani powiedzieć, że w tym roku wszystkie festiwale przeszły same siebie. Międzynarodowa Galicyjska Jesień Literacka, Warszawska Jesień Poezji, Międzynarodowy Listopad Poetycki w Poznaniu, Festiwal Poezji Słowiańskiej były w tym roku najlepsze ze wszystkich, w których brałem udział. A na tym ostatnim gwóźdź programu były wokalnie-muzyczne występy znakomitego artysty Michała Hajduczeni, mistrza kontrabas, śpiewaka o fenomenalnym głosie. Można by było słuchać go bez przerwy przez cały dzień. Takiej oprawy muzycznej ten festiwal chyba jeszcze nie miał. I jak tu twierdzić, że w kulturze nic się nie dzieje. Oczywiście, nie jest to nagłośnione odpowiednio, bo w tzw. mediach rządzą dzisiaj przeważnie matoly. Takie same matoly siedzą w ministerstwie kultury. Ale te „nizowe” imprezy cieszą się dużym zainteresowaniem odbiorców, i odbywają się bez łaski różnych kacyków. I o to chodzi.

O ile jednak festiwale na szczęście rozkwitły pozytywnie, o tyle w samym środowisku literackim nie brak jeszcze chwastów. Zresztą, jak w każdym – znajdują się ludzie nieodpowiedzialni, oszuści, krętacze, intryganci, niemający najmniejszej odwagi cywilnej, ale grający rolę układnych moralistów, którzy są radzi zrzucali swoje winy na innych. I z takimi nie można, a nawet nie warto podejmować żadnych działań. To ci, którzy nie są w stanie wpłynąć na ogólny wizerunek polskiej kultury, najwyżej ten wizerunek z lekka pobrudzą.

Takich nie ma na przykład wśród psów. To istoty wierne, oddane, na swój sposób uczciwe, jak Trotyl, pies Tchórzewskich. Kiedy po długiej chorobie odszedł, został pochowany na psim cmentarzu. Pojechaliliśmy potem samochodem zobaczyć jego grób, a Tchórzewscy chcieli zamówić pamiątkową tabliczkę, na którą w pełni zasłużył, jako niezawodny przyjaciel i „Pies Legenda” – taki napis będzie na tej tabliczce. Bo rzeczywiście, wszyscy znaliśmy go jeśli nie osobiście, to z opowiadań Aldony.

Ten cmentarz robi jednak wrażenie. Takie małe psie Powązki. Szliśmy alejką, a ja zauważyłem kogoś idącego z przeciwka z psem. Kiedy się mijaliśmy, powiedziałem na cały głos do pieska: „a co, zmartwychwstałeś?” I pomyślałem sobie, że z takiego zmartwychwstania cieszyłbym się bardziej niż z powrotu niektórych ludzi.

Czasami się ma dosyć wszystkiego. Ale Święta i Nowy Rok z pasem, więc raczej wypada się cieszyć, że jeszcze żyjemy i mamy przed sobą jakieś perspektywy i nadzieje, którymi serdecznie się z Panią dzielę niczym opłatkiem –

STEFAN JURKOWSKI

